

№ 270 18 C.K.SZKOLA GŁ. UST. BARBARY 67/8

104



Przedpłata w miejscu i dla abonentów „Dziennika Lwow.”
 rocznie 6 zlr. — ct.
 półrocznie 3 „ — „
 ćwierćrocznie 1 „ 50 „
 Pojedynczy numer kosztuje 20 centów.

Nr. 1.
 12. Października 1867.

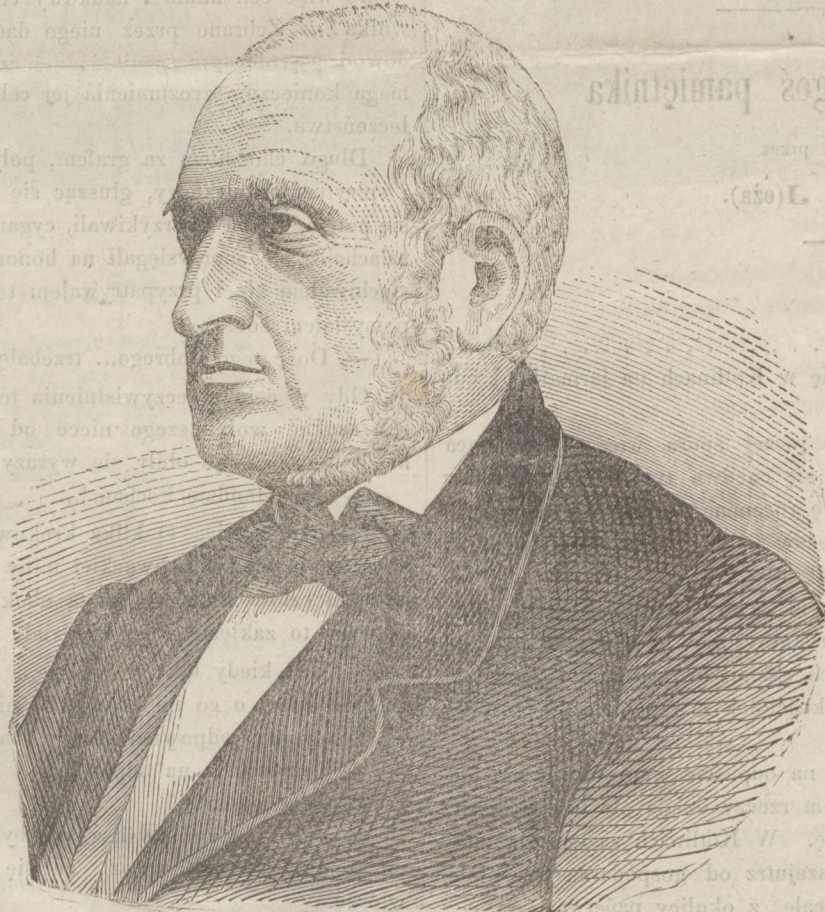
Dla prenumerujących TYGODNIK bez „Dziennika.”
 rocznie 7 zlr. — ct.
 półrocznie 3 „ 50 „
 ćwierćrocznie 1 „ 80 „
 Zeszyt miesięczny kosztuje 60 centów.

Agenor hr. Gołuchowski.

Nasza kraina jedyna z ziem rozebranej Polski, ma na czele swoich rządów Polaka. Hr. Gołuchowski jest dopiero drugim z Polaków, któremu się udało nietylko dostać ster prowincji polskich w swoje ręce, ale stanąć (choć na krótko) u steru rządów całej tej monarchji, której się jego ojczyzna kraina w udziale dostała. Pierwszym z Polaków takim mężem i jedynym w Moskwie był książę Adam Czartoryski, minister spraw zagranicznych za Aleksandra I. Odtąd niemiała Moskwa ministra Polaka, prócz dla spraw polskich. W Prusach nie zajmował nigdy Polak takiego stanowiska, a w Austrii jeden hr. Gołuchowski. *)

Jestto godne uwagi zjawisko polityczne i to nas powoduje postawić na czele naszych wizerunków współczesnych mężów publicznych w Polsce, obraz czynności politycznej hr. Gołuchowskiego.

Rok 1848 wprowadził hr. Gołuchowskiego na widownię publiczną. Przedtem należał on do tych niewielu Polaków, zwłaszcza z zamożniejszej szlachty, którzy poświęcili się służbie rządowej, obrali niewdzięczną pracę dosługiwania się pod nieprzyjawnymi wszelkiemu narodowemu żywiołowi rządami, posad wyższych,



Agenor hr. Gołuchowski.

a na tych obiecywali sobie i drugim ulżenia, choć w małej części, wrogich stosunków. Nadzieja ta była złudna, bo mieli zawsze do walczenia z nieufnością Niemców, stojących u steru rządu z jednej, a z nieufnością ziomków uciśkanych z drugiej strony. Toż na tej śliskiej kolei spotkał hr. Gołuchowskiego zarzut, że sobie zbierał zasługi z ujmą charakteru Polaka. Chcemy wierzyć, że zarzut ten był niesłuszny, gdyż nie jesteśmy w stanie ani za tem, ani przeciw temu dowodów przytoczyć.

Wszelkie urządowanie pokrywał przed r. 1848 całun tajemnicy, dziennikarstwa nie było, niemożna było wyswiecić ani zasług dla sprawy narodowej, ani też ciosów jej zadawanych, mianowicie na niższych stanowiskach urzędowych. Późniejsze a zwłaszcza najświetniejsze czynności hr. Gołuchowskiego dowodzą, że nie zniemczał, nie zatarł w sobie przywiązania do sprawy ojczystej, nie stracił charakteru Polaka.

Do wspomnionego zarzutu mogło dać powód niezwykle szybkie (jak na Polaka w służbie austriackiej) posuwanie hr. Gołuchowskiego na wyższe stopnie hierarchii urzędniczej. Rok 1848 zastał go radcą gubernjalnym, czem już był

*) Urodzony we Lwowie r. 1812.



1386
 IV

CZASOP
 1-2 (1867-1868)

od r. 1845, chociaż miał dopiero około 15 lat służby. Rzecz ta była naówczas dosyć niezwykła, wyjąwszy wypadki szczególnej protekcji, którą się Polacy nigdy w Austrii nie cieszyli. Jeszcze bardziej musiało uderzyć, że w tym właśnie roku został hr. Gołuchowski z pominięciem bardzo wielu starszych i wielu zasłużonych kolegów, nareszcie z przeskoczeniem kilku stopni pośrednich (a przynajmniej jednego t. j. hofrata) posunięty na wiceprezydenta gubernatorialnego przy boku hr. Franciszka Stadion, ówczesnego gubernatora. Mianowanie Polaka tak wysokim urzędnikiem politycznym czyli administracyjnym, było niepraktykowanym jeszcze wypadkiem w Galicji. Byłoby ze strony rządu pierwsze ustępstwo w obec nacisku narodowości polskiej. Szybki rozwój wypadków i gorączkowe wzrastanie wymagań narodowych było powodem, że mianowanie to zostało dość obojętnie przyjęte przez opinię publiczną. Lecz wcale nieoobojętnie przyjęły je koła urzędnicze. Opinia wymagała nierównie więcej; biurokracja niemiecka zaś widziała już w tem zamach na swoją przewagę. Zamianowanie Zaleskiego gubernatorem, pierwszego Polaka od czasów rozbioru, usunęło w głąb znaczenie poprzedniej nominacji. Dwóch Polaków u steru rządów prowincjonalnych było rzeczą, która napelniała zgrozą biurokrację niemiecką — wypadkiem zresztą, którego Galicja nie widziała nie tylko przedtem nigdy, ale i potem aż po dzień dzisiejszy.

Toż niedługo trwały rządy Zaleskiego. Biurokracja niemiecka umiała im szybko położyć koniec.

Hr. Gołuchowski był w tej mierze szczęśliwszym. Czy miał więcej łaski u najwyższych kierowników rządowych, czy też utrzymano go dla innych względów? o tem nie możemy orzekać. Dość na tem, że sam rozwój wypadków oddał w ręce hr. Gołuchowskiego rządy Galicji. Jakaś chwiejność w najwyższych sferach rządowych co do pozostawienia go u steru zdawała się objawiać w tem, że niezamianowano go od razu gubernatorem, później dano tytuł naczelnika kraju (Landesschef) aż wreszcie zamianowano go namiestnikiem.

(D. n.)

Urywek z czyjegós pamiętnika

znaleziony przez

T. T. J(eża).

I.

..... i znalazłem się w Kotlinach na jarmarku i odpuscie.

Kotliny jest to mała miejscina, a raczej spora wieś, posiadająca przywilej jarmarków, odbywających się co dwa tygodnie. Pomiędzy jarmarkami dwa czy trzy tytułują się rocznemi, a jeden z tych ostatnich przypada w jesieni, równocześnie z odpustem, przywiązanym do tamecznego kościoła.

Kotliny nie odznaczają się niczem, coby na opis zasługiwało. Właściwe miasteczko stanowi czworokątny niebrukowany rynek, na który wychodzą: szereg drewnianych sklepików, szereg lichych żydowskich domków, bardzo ładny kościółek i wspaniała w gotycką fasadę ozdobiona austerja.

Nie było w zamiarze moim być na odpuscie, ani nawet na jarmarku. Lecz ileż to w życiu naszym rzeczy dzieje się bez zamiaru? Ot... jakoś to się złoży i... stało się. W Kotlinach zaskoczyła mnie noc — przenocowałem — a gdy nazajutrz od gospodarza wspaniałej austerji dowiedziałem się, że „się całe z okolicy państwo zjedzie“, zdecydowałem się pozostać, dla tego jedynie, że mi się nie spieszyło jechać do oddalonego o trzy mile domu i dla tego także, że trafiła się okazja pogapienia się.

Nie mając co lepszego do roboty, od rana włóczyłem się po rynku i po targowicy, przypatrując się, jak napelniały się, pierwszy ludem i wozami, druga bydłem i końmi. Bawilem się w podsłuchacza. Uderzyła mnie fizjonomia naszego jarmarku, mająca dużo ciekawych stron, widywanych często, mimo to nie przestających być cieka-

wemi, jakby się je po raz pierwszy widziało. Ileż to rzeczy, na które się patrzemy, dla tego właśnie, że mamy je ciągle przed oczami, są dla nas nowemi!... Nową wydawała mi się fizjonomia tego jarmarku, złożonego z pierwiastków, wchodzących w skład naszego wiejskiego społeczeństwa, które też wystąpiły każdy we właściwym swoim charakterze, spętany dozorem moskiewskiego czynownika, czuwającego niby nad utrzymaniem porządku, a w istocie rzeczy czyhającego na sprawę.

Chodziłem, gapiłem się i rozmyślałem. Z zajęciem przypatrywałem się zamaszystym minom ekonomów, odznaczających się barabańskimi wąsami, wysokimi cholewami i bizunami, które wówczas były jeszcze godłem dostojęstwa; z niemniejszym zajęciem przypatrywałem się żydkom, obszaczrowującym chłopów i cyganów, popisującym się jazdą na okaleczalnych szkapach i szlachcicom, wzywającym na pomoc honor, w celu sprzedania koni z podrobionemi rejestrami i utajonym ochwatem i chłopom przybyłym z korcem zboża lub byczkiem na zapłacenie podusznego i zaopatrzenie chaty w sól. Najmocniej wszakże zajął mnie graf P., właściciel rozległych dóbr, mieszkający w T., gdzie spędza setną część życia, dziewięćdziesiąt dziewięć setnych przepędzając za granicą. Graf chodził po targowicy i targował woły, ale nie kupował, tylko w złotobrzeźnym kalpenie ceny sobie notował. Czynił to dla tego, ażeby obrachować, na jaką sumę okradli go rządcy, komisarze i plenipotenci. Z tego powodu był na tym jarmarku figurą wydatną i oryginalną. Otaczała go złożona z żydków eskorta, która mu pośredniczyła w zapełnianiu rubryk „co żądają, co dają.“ — Z tego pośredniczenia wypadło to, że wartość przeciętna dawała w rezultacie ceny bajecznej wysokości.

Chodziłem, gapiłem się i rozmyślałem. Graf, zbierający świadectwa uczciwości dla żartujących z niego na stronie oficjalistów, wielce mnie bawił z tego głównie powodu, że powiedziano mi, iż poświęcił się studjom nad ekonomją polityczną i należał do różnych za granicą ekonomicznych stowarzyszeń, których był czynnym członkiem. Notowanie więc cen miało i naukowy cel. Winszuję nauce takiego pracownika!... Zebrane przez niego daty, niezaprzeczoną mają wartość, dowodzącą niezaprzeczenie jednej rzeczy, a to: że uprawa nauki wymaga koniecznie zrozumienia jej celu przez wszystkie warstwy społeczeństwa.

Długo chodziłem za grafem, polykając kurz, wachając dziegiowe i spirytusowe wyziewy, głuszając się jarmarcznym gwarem i oblewając się potem. Żydzi wykrzykiwali, cyganie harcowali na kulawych koniach, szlachcice się zaprzysięgali na honor, chłopci zapijali mohorycz. Przysłuchiwałem się i przypatrywałem temu wszystkiemu i około południa pomyślałem sobie:

— Dość tego dobrego... trzebaby zajrzeć do kościoła...

Gdy w celu urzeczywistnienia tego chwalebego zamiaru, począłem szukać wolniejszego nieco od natłoku na targowicy przejścia, nagle o uszy moje obily się wyrazy:

— Jak Handzię Kocham!...

Obejrzałem się. O kilka kroków z boku stał dzielny gniady koń a na koniu siedział chwackiej miny młody człowiek i mówił z innym młodym człowiekiem, piechotą obok niego stojącym. Ten drugi uszawszy to zakłęcie, odpowiedział:

— Ha! kiedy tak, to wierzę...

Nie wiem o co im chodziło i nie wiem dla czego słuchałem dalej. Ten drugi, odpowiedziawszy, natychmiast zapytał:

— Przyjechała na odpust?...

Jeździec odparł:

— Juźci... Czyż myślisz, że byłbym przyjechał do Kotlin, gdyby nie ona?... Wszak wiesz, że się po odpustach i jarmarkach nie włóczę...

— Myślałem, że chcesz sprzedać twego ogierka...

— Chybaś zwarjował!... — zawołał młodzieniec wyciągając rękę i głaszcząc konia po grzywie. — Sprzedać go?... teraz?...

I obejrzawszy się do koła, jakby chcąc się dowiedzieć, czy go kto nie słucha, dodał:

— Jeszcze mi starczy na obrok dla niego... On mnie wozi do niej... Za żadne skarby świata bym go nie sprzedał...

— Cóż myślisz z sobą robić?...

— Co!... to co inni, i dla tego kontent jestem, że mam w pogotowiu konia...

— Nie o to pytam... — podchwycił stojący piechotą — wszak wiem, że nie zostaniesz kiedy inni pójdą... Pytam o dzień dzisiejszy... Co myślisz robić na jarmarku?...

— Przejadę się po targowicy... zajrzę do kościoła... pomodłę się... powiem Handzi dzień dobry... wsiedę na koń i do domu pokłusuję...

— A do Jarów nie zajrzysz?...

— Nie... nie dziś!...

— A jeżeli pięknie poprosi?...

— Chociażby...

— Ale?... Nie wytrzymasz... Dziś święto, niemasz co w T. robić. Jeździec nachylił się i coś pieszemu do ucha powiedział.

— Chyba że tak... — rzekł ten ostatni. — Bądź zdrów.

Podali sobie ręce. Jeden odjechał, drugi odszedł, ja zostałem spoglądając za jeźdźcem, który wolną ręką i z niewysławionym wdziękiem, prowadził pełnego ognia konia. Podслушаłem tajemnicy jego serca, z której się głośno spowiadał, połączonej z inną tajemnicą, której się domyślałem. Był to rok 1862. Więc ta drogość konia i te ciche szepty odnosiły się do burzy, co już się na polskim zbierała horyzoncie, a głośne przyznanie się ciągało się do jakiejś Handzi. Jedna przeto Handzia była dla mnie zagadką, której rozwiązanie, łączące się z powziętym zamiarem pójścia do kościoła, nie przedstawiało najmniejszej trudności.

— Co to za Handzia?... trzeba zobaczyć...

Postałem jeszcze przez chwilę, zwróciłem się i poszedłem wprost do kościoła.

W kościele taką przy drzwiach zająłem pozycję, ażeby mózgiem widzieć każdego co wchodził i wychodził. Wkrótce po mnie wszedł młody jeździec i stanął naprzeciw. Nim zmówić zdołałem pacierz, ksiądz z przed ołtarza zaintonował „*ite missa est!*“ — nie miałem więc czasu przypatrzeć się dobrze młodzieńcowi. Dostrzegłem tylko w całej powierzchowności jego coś zajmującego i ufność budzącego. Nigdy go przedtem w życiu nie widziałem, chociaż mieszkał w T., odległym nie więcej jak o mil sześć od Widowa, gdzie ja mieszkałem. Nie widywałem go zapewne właśnie dla tego, że mieszkał w T. Kim-że bowiem mógł on być? — najprawdopodobniej jednym z podrzędnych, z powodu młodości, oficjalistów grafa P. Kim byłem ja? — obywatelem — panem na trzech wsiach, liczących pięćset dusz. Nie mogłem go więc widywać. Stanowiska nasze społeczne były zbyt różne. Mimo to jednakże, niewytłómaczona jakaś ciekawość ciągnęła mój wzrok w jego stronę — może właściwie nie dla niego, ale dla owej zagadkowej Handzi, która w tym czasie odkrywała belki w oku bliźniego. Mniejsza jakiego ów bliźni stanowisko w hierarchii społecznej zajmuje — dość, że w oku jego jest belka, pod postacią młodej zapewne i... kto wie... może ładnej dziewczyny. A i ja byłem młody. Tego przeto rodzaju zagadka drażniła moją ciekawość. Z dziwną, której wytłómaczyć sobie nie umiem niecierpliwością, czekałem na jego „dzień dobry“, nie spuszczać go z oka.

I doczekałem się.

Najprzód ujrzałem na jego twarzy lekki uśmiech, następnie pochylił głowę ukłonem.

W imaginacji mojej mignęło widzenie cudu.

Cudnaż bo dziewczyna ukłonem na ukłon odpowiedziała.

— Bodaj-że ją!... — powtarzałem sobie, spiesząc z kościoła do austerji.

Nie była ona podobną do żadnej ze znanych mi na szerokim świecie piękności, a przecież zdawało mi się, jakobym ją odszukał. Nie miałem czasu rozpatrzyć się w niej dokładnie, a przecież zdawało mi się, jakobym ją przejrzał na wylot, niby związaną z powietrzem, powietrzną, przejrzystą, przeczystą istotę, doskonałość bez plamki i skazy.

— Bodaj-że ją!... — powtarzałem i niewiem dla czego kłamałem na czem świat stoi — kogo? — i siebie i ją i jego, wszystkich i wszystko.

Nie miałem czasu rozpatrzyć się w niej. Mignęła mi tylko przed oczami. Dygnęła, rzekła „dzień dobry!“ — i znikła. Nie mogłem za nią iść. Tłum odpechnął mnie w przeciwną stronę, pomiędzy gro-

madkę sąsiadów i sąsiadek, którzy i które, niby na ścierwo zgłodniałych stado kawek, spadli na mnie z pytaniami o zdrowie, o powodzenie, o zdrowie mojej mamy, o urodzaje, o diabli ich wiedzą co!... Otrząsłszy się nieco z pytań, obejrzałem się za młodym człowiekiem. Już go nie było. Znikł, jak kamień w wodzie.

(D. c. n.)

Rynek krakowski.

Kraków i jego pomniki historyczne już tyle razy były przedmiotem opisów i porównań skreślonych przez najznakomitsze pióra pisarskie nasze i zagraniczne, że o nich bez uniknięcia powtarzania nie tak dalece nowego powiedzieć nie można.

Pobudki, jakie nas skłaniają do zamieszczenia w pierwszych numerach naszego pisma pobieżnych wspomnień o pomnikach i starożytnościach Krakowa, nie zasadzają się li tylko na samem odświeżaniu opisów znanych, ale tkwią w istotnej potrzebie przypomnienia raz jeszcze mieszkańcom całej Polski, że macierz miast naszych, nasze narodowe muzeum, ów polski panteon — niszczyje pod pleśnią zapomnienia — a twarde i nieublagany ząb czasu, dzielnie posiłkowany wrażliwymi pokuszeniami, jak wiele już zniszczył, tak do reszty skruszy go — jeżeli rychło obudzone sumienie narodowe nie zmusi nas do naprawy tego, co było przedmiotem troskliwej pieczy przeszłych pokoleń które z świetnych dni swojego istnienia przekazały nam Kraków — ową skarbnicę narodowych pamiątek, jako drogi upominek ojcowski.

Rozpoczynamy wspomnienia nasze od rynku krakowskiego już z tego względu, że z placem tym wiążą się tak piękne wspomnienia świetnej potęgi i chwały narodowej — już dla tego, że jak świadczą powagi pisarskie — rynek ten pod względem wielkości i kształtu niema sobie równego nie tylko pomiędzy placami miast polskich ale i zagranicznych.

Rynek krakowski w doskonały czworobok zabudowany liczy powierzchnią 9.216 sążni kwadratowych, do którego prowadzi jedynaście głównych ulic. Rzędy pięknych trzechpiętrowych kamienic większej części w gęście włoskim, z płaskimi dachami, formują ściany tego czworoboku. Kościół archipresbyterjalny Panny Marji, stanowi punkt najwydatniejszy i ozdabia wschodnią ścianę rynku. W pośrodku imponujące starożytnością Sukiennice, kościółek św. Wojciecha i osierociała wieża ratuszna, bez których jak słusznie powiedział „Postęp“, rynek ten równałby się zwykłej targowicy, nadają mu powagę i koloryt miastowości.

Kościół Panny Marji jest to jeden z najpiękniejszych i najśmielszych zabytków architektury gotyckiej w całej Polsce — a pod względem okazałej budowy i dawności zajmuje pierwsze miejsce pomiędzy najpiękniejszymi budowlami Krakowa. Iwo Odrowąż, syn Saula z Końskich, biskup krakowski i kanclerz Leszka białego, rozpoczął jego budowę w r. 1226, a ukończyli ją jego następcy w r. 1397. Facjatę kościoła stanowią dwie wieże, z których większa marjacką zwana, liczy 355 stóp wysokości. Ma ona samych murów pięter ośm i 200 przeszło stopni, po których wstępuje się na wieżę, gdzie stróż mieszka. Wznosi się wspaniale ponad wszystkie wieże kościołów krakowskich i panuje nad miastem.

W roku 1843, gdy wieżę tę naprawiano, znaleziono w gałce u samego szczytu szkatułę z trzema pergaminami z XIII. wieku, które zawierały wyjątki z ewangelji. W końcu XVII. wieku był na wieży tej od ulicy florjańskiej sławny zegar z poruszającymi się osobami — lecz gdzie się podział i kiedy został zdjęty, niema o tem pewnych skazówek.

Wnętrze kościoła świadczy o wielkiem jego bogactwie; główny ołtarz, to arcydzieło rzeźbiarstwa, owoc dwunastoletniej pracy Wita Stwosza, przedstawia w płaskorzeźbie dwanaście epok życia Chrystusa. Główne figury są naturalnej wielkości i nadzwyczaj dokładnie wykonane. Skarbiec kościelny zawiera utwory Kulmbacha, noszące napis roku 1515.

W pośrodku rynku wznoszą się wspaniałe Sukiennice, nazwę tę od składów sukiennych noszące, gdyż w 13 wieku prowadził już Kraków wielki ze Wschodem handel sukniemi.

Datę wybudowania sukiennic jedni odnoszą do czasów Bolesława Wstydlwego, naznaczając rok 1257, inni przypisują to Kazimierzowi Wielkiemu.

Szajnochca w swoich szkicach historycznych powiada, że w roku 1257 niema jeszcze Sukiennic. W 1257 przywilejem lokacyjnym przyrzeka dopiero książę Bolesław handlowym przybyszom niemieckim własnym kosztem i trudem wybudować sklepy sukienne i sklepiki dla przekupniów, pospolicie kramy nazwane.

Sukiennice wybudowane są w stylu wschodnio-bizantyńskim, przez całą długość wewnątrz przecięte są korytarzem 360 stóp długim i 86 szerokim, w każdej z 2 ścian gmachu znajduje się 18 sklepów, a na pierwszym piętrze znajduje się sala rozmiarów takich, jak korytarz na dole i pomieścić może 7 tysięcy ludzi.

Budynek ten coraz bardziej ulegający zniszczeniu, otoczony szepetniami i w gruzy walącymi się kramami, stał się od niedawna przedmiotem narad tak ojców miasta Krakowa, jako też ludzi fachowych. Minęło już pół roku, jak hr. Goluchowski podając myśl restauracji



Rynek krakowski.

Zdaje się więc, że wybudowanie właściwego gmachu Sukiennic, który dziś widzimy na rynku krakowskim, nastąpiło rzeczywiście z woli Kazimierza Wielkiego i za jego panowania, bowiem w nadaniach tego króla z roku 1358 znajdujemy już, iż oddaje na własność Krakowianom 5 komor sukiennicznych z całym czynszem i w tymże nadaniu zastrzega wyraźnie, ażeby miasto wplacach publicznych nieporządnie budynkami nie oszpecało się. Bartoszewicz odnosi datę zaczęcia budowania Sukiennic na rok 1399, co jest najmniej prawdopodobne.

tego pomnika starożytności, sam otworzył składkę ofiarując 1.000 złr. i zezwolił na zbieranie funduszu na odbudowanie tychże, w całym kraju, przez rok bieżący. — Tymczasem radni miasta marnując czas na bezpożytecznych zatargach, w jaki sposób odnowienie ma nastąpić i jakie cechy pierwotności gmach ma zachować lub odrzucić, podają coraz nowe projekta, a kraj w niemej obojętności przysłuchuje się wielomowności rajców krakowskich i nie spieszy ani z ofiarą grosza, ani nie troszczy się o to, czy ten piękny pomnik dbałości Piastów

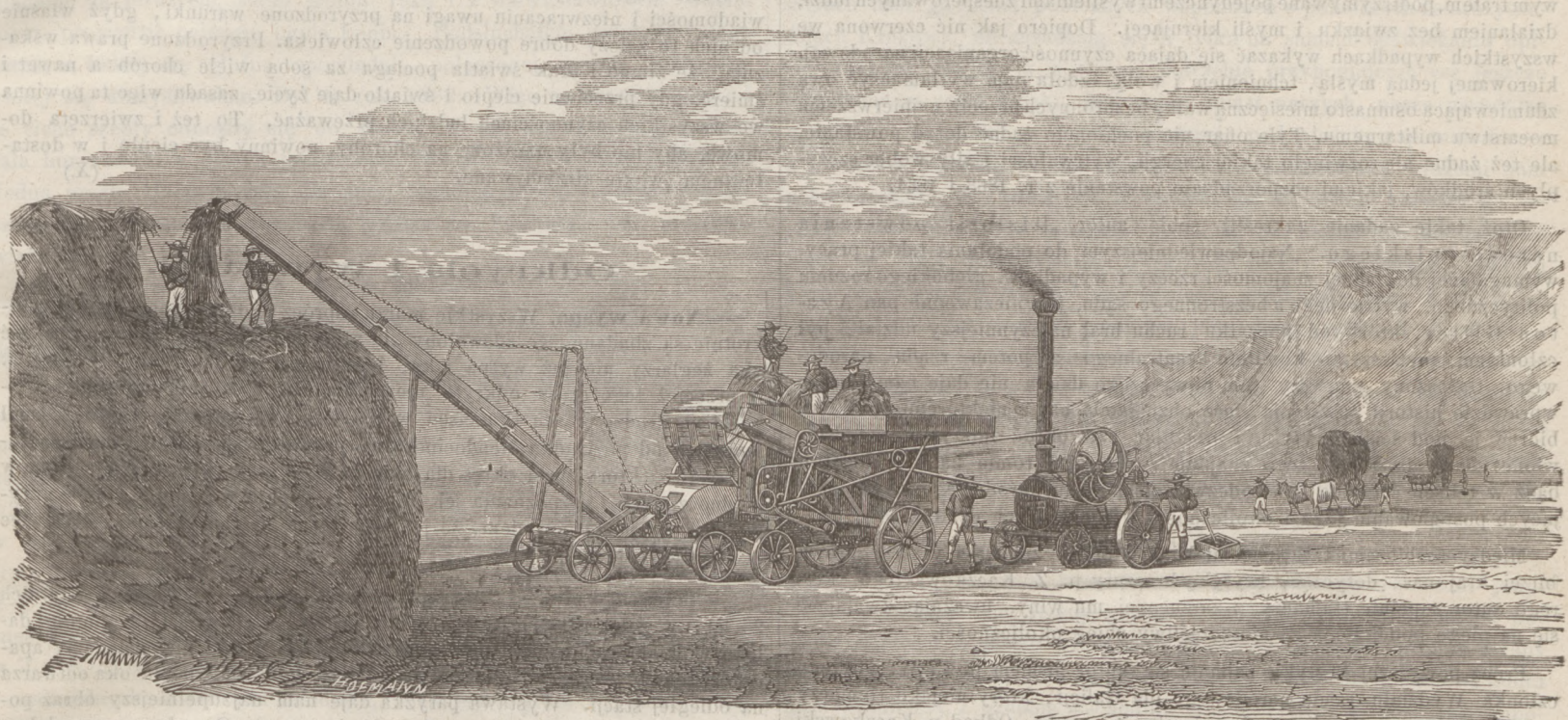
o wzrost i pomyślność stołecznego grodu i innych miast polskich odbudowany zostanie, czyli też zwali się w gruzy, lub zeszepeczony będzie do niepoznania.

Uważając Sukiennice jako pomnik historyczny za własność — nie miasta Krakowa — lecz całego kraju, mamy prawo wyrzec nasze zdanie. My Polacy, skutkiem rozbioru naszej ojczyzny, nie mamy ani muzeum, ani Walhali, ani Panteonu, któryby służył na przechowanie dla młodego pokolenia pamiątek naszych narodowych, świadczących o wielkości i potędze naszej przeszłości. Nie posiadamy nawet wizerunków czy to rzeźbą czy penzlem wykonanych, któreby razem zebrane przedstawiały królów, hetmanów i uczonych dawnej Polski, a jest to najwymowniejsze świadectwo naszej minionej potęgi, a skazówką do stworzenia sobie przyszłości. Obecnie na wystawie paryskiej mnóstwo było dzieł sztuki i przemysłu, wykonanych przez naszych ziomków, a że nie każdy był w stanie jechać do Paryża, aby dzieła naszych mistrzów podziwiać, przeto byłoby stosownie, aby za-

nim te przedmioty wysłane zostaną na jakąbądź wystawę, poprzednio wystawione były na widok publiczny dla krajowców. Kraków jest do tego najstosowniejszym miastem, Sukiennice najwłaściwszym miejscem, tworząc tym sposobem dla przechowania pamiątek narodowych, galerję obrazów i wystawę utworów nowoczesnej sztuki — muzeum narodowe.

To leży w interesie kraju i nie będzie on szczędzić grosza, ażeby osiągnąć cel.

Prócz tego zyska Kraków materialnie, bo oprócz krajowców zwiedzać będą gród Krakusa cudzoziemcy, skrzętnie śledzący po świecie, co jest godnym widzenia. Ten to napływ ludzi wynagrodzi straty, jakie obecnie ponosi Kraków z powodu przeniesienia politycznych urzędów do Lwowa, a gromadząc w swych murach ciekawych gości, przestanie być owym pustym, głuchym, podupadłym grodem, co to wygląda niby magnat zubożały.



Młóczarnia parowa.

Z wystawy paryzkiej.

Chcąc czytelnikom naszym wybitniejsze dać wyobrażenie o wystawie międzynarodowej w Paryżu, przytoczymy pierwszą lepszą rozmowę, podsłuchaną w ulicach przecinających pałac tej wystawy.

- Gdzie jest Algier?
- Pomiędzy Francją i Belgią.
- Pójdźmy więc do Algieru a potem do Brazylji.
- Jednak po drodze wstąpimy do Chin — na herbatę.
- A następnie przez Indje i Egipt, pójdziemy do wiedeńskiej restauracji na obiad.

Te i tym podobne programy przechadzek po tym nowożytnym labiryncie, świadczą wymownie, że przechadzka po Afryce, śniadanie w Szwecji, spoczynek w Kanadzie, koncert w Japonji, to dzieło kilku godzin. Znikła zatem na wystawie wszelka odległość, jaka rozdziela kraje na kuli ziemskiej.

I teraz dopiero powtórzyćby można z Ludwikiem XIV. nietylko, że „nie ma Pirenejów,“ ale nawet że nie ma Oceanów, ani Atlantyckiego, ani Spokojnego. Przechodzień stąpa jedną nogą po zwrotniku, drugą po biegunie północnym. Okolice, miasta, pomniki rozmaite, tudzież ludy wszystkich narodowości wraz z ich machinami, płodami, obyczajami, zwyczajami i ubiorami, zbiegły się w jeden punkt. Podróżujący po świecie nie o wieleby więcej poznał, niż to co tu obaczył. Jedną przechadzką po wystawie nauczy wiele laknącego wiedzy, ito jest, właśnie zasługą wystawy paryzkiej, że w tym wieku gorączkowej działalności, gdzie niema czasu ani siły wszystkiego się nauczyć, człowiek bez przygotowawczych nauk, wiele się uczy i korzysta z tego, co widział.

Przechodząc dzielnicę wystawy i zwiedzając grupy przedmiotów wystawionych, zwracałem głównie uwagę na to, co kraj nasz interesuje. Płody i narzędzia rolnicze były głównym celem moich badań. Szczególną na siebie zwracała uwagę młóczarnia parowa. Panowie Ransomes i Sims, wynaleźli i na wystawę paryzką wysłali młóczarnię parową. Machina ta wyluszcza z kłosów ziarno, kraje słomę i wydziela plewy. Składa się z trzech części: lokomobilu, młóczarni i lewaru. Lokomobil ma różne rozmiary, jest zaopatrzony ogrzewaczem i wodą; można ją ogrzewać wszelkiego rodzaju materiałem palnym: drzewem, węglem kamiennym, torfem, lodygą i słomą. Kocioł jest urządony w ten sposób, iż przyjmuje wodę czystą lub nieczystą, a to bez żadnego dlań niebezpieczeństwa. Jestto rzecz ważna w okolicach, gdzie brak wody, zastępują kaluże wypełnione wodą deszczową. Część druga przeznaczona do młócenia, składa się z dwóch cylindrów szybko się obracających; cylinder górny opatrzony jest zębami, które krają słomę na sieczkę; zaś cylinder dolny ugniata ją i czyni łatwiejszą do spożycia. Sieczka wychodząc z pomiędzy cylindrów na zewnątrz, bywa oddzielana przez robotników. Nowa ta młóczarnia i sieczkarnia ułatwia przyrządzenie dla bydła karmy, tudzież młóci i plewi znaczną ilość ziarna, wydając dziennie około 1500 ćwierci czystego zboża. Używanie tej maszyny oszczędza pracę ludzką, wydaje czystsze ziarno i lepiej przyrządza sieczkę. U nas w kraju zaprowadziła fabryka w Tlumaczu podobną młóczarnię, która kosztuje wprawdzie 12.000 złr., jednakże w pierwszym wyplaciła się roku, gdyż ją okoliczni właściciele ziemscy często bardzo wynajmowali. (C. d. n.)

Przegląd literacki.

Historja powstania narodu polskiego przez Agatona Gillera. Tom I. Powstanie polskie r. 1863 i 1864 jak również ruch narodowy poprzedzający wypadki zbrojne w Królestwie Polskiem, zawsze zajmować będą jedną z głównych kart dziejów narodowych. Wypadki te w skutkach swych dziś jeszcze dotkliwie czuć nam się dające, są w swoich zaczątkach grubą osłoniętą tajemnicą. Szczególną zaś właściwością tego powstania, zdumiewającą wrogów jak i zagranicę swą czynnością, energją i najwyższym stopniem poświęcenia, był ów tajny rząd narodowy, który działając pod bokiemi cytadeli warszawskiej, rozporządzając siłami całego kraju i narodu, zdołał sobie — aczkolwiek bezimienny — uzyskać powszeckie zaufanie i posłuch, jakiego nawet absolutne rządy nie zawsze są w stanie wymusić na swych poddanych. Sami Moskale przyznawali, że rząd narodowy posiada lepszą administrację, szybsze środki komunikacyjne i więcej uregulowaną skarbowość, aniżeli jawny rząd rosyjski, podtrzymywany krociami bagnetów. Bez znajomości tych tajnych dotąd sprężyn, bez obeznania się z organizacją narodową, której najwyższym szczeblem był rząd narodowy, niejedne wypadki zostałyby niezrozumiałe a powstanie zdawałoby się być nieszczęśliwym trafem, podtrzymywane pojedynczemi wysileniami zdesperowanych ludzi, działaniem bez związku i myśli kierującej. Dopiero jak nić czerwoną we wszystkich wypadkach wykazać się dająca czynność organizacji narodowej, kierowanej jedną myślą, technieniem i wolą, zdoła nam wytłumaczyć ową zdumiewającą osmnasto miesięczną walkę bezbronnym przeciw najpierwшему mocarstwu militarnemu. Tyle ofiar nie pochłonęło żadne dotąd powstanie, ale też żadne nie rozwinęło takiej energii, wytrwałości i siły wobec szczupłych środków, jakimi rozporządzało powstanie z r. 1863 i 1864.

Otoż takie zadanie zakreslił sobie autor „Historji powstania narodu polskiego.“ Najodpowiedniejszym do podjęcia takiej pracy, wymagającej dokładnej znajomości rzeczy i wypadków, głębokiego rozumu politycznego, wytrawnego a bezstronnego sądu, jest niezawodnie pan Agaton Giller, który od początku ruchu brał najczynniejszy udział, był członkiem pierwszego komitetu centralnego a potem rządu narodowego. Ogłoszony pierwszy tom powyższego dzieła nie daje nam jeszcze wprawdzie historii powstania, lecz obznajamia nas z niektórymi źródłami, biorąc je pod ścisłą krytykę i prostując częstokroć fałszywie przedstawione zdarzenia. Obok tego znajduje się w tym tomie bądź w dodatku bądź w tekście znaczna ilość odezów i pism rządu narodowego, wyświecających postępowanie jego i okoliczności wśród których działał.

Między rozbiarami traktującymi dzieła i pisma, znajdujemy szczegółową bliżej kraj nasz dotyczącą krytykę broszury p. Z. Kaczkowskiego, którego autor zupełnie tłumaczy z zarzuconej mu winy, uważając zwalające się na niego podejrzenia za nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

Prócz powyższej krytyki zajmuje się autor pismem p. L. W., byłego członka Wydziału rządu narodowego dla Galicji, który niejako tłumaczy postępowanie organizacji narodowej w kraju naszym. Odkąd p. Kaczkowski i p. L. W. ogłosili swe broszury, niewielka już tajemnica okrywa działanie organizacji kraju. Autor przebiega też wszelkie prawie fazy jej czynności i różnych przeobrażeń, jakie od początku przechodziła i przychodzi do rezultatu, że Galicja mniej czyniła aniżeli była w stanie, spychając niepowodzenia na zatargi stronnictw i bierność lub opór białego komitetu. Nie wchodzimy na teraz w szczegółowy rozbiór, gdyż będzie to na czasie, gdy autor przystąpi do opowiadania samych wypadków; teraz jednak zwracamy uwagę na ważność tej publikacji, napisanej w duchu pojednawczym z niezwykłą sumiennością, bystrością umysłu i ową wiarą w przyszłość, która powodować nami winna we wszystkich pracach narodowych.

K. G.

Gospodarstwo i przemysł.

— **Uwagi nad powstaniem i rozszerzeniem się zarazy bydła.** Pominawszy szkody materialne, przykry jest widok miejsc, w których zaraza na bydło grasuje; zaraza bowiem na bydło jest, można powiedzieć, oraz i zaraza na gospodarstwo. Stajnia jest kopalnią złota dla gospodarstwa; gdy ta upadnie, jakże to długiego czasu potrzeba, aby się na nowo gospodarstwo podźwignęło?

O zarazie na bydło ze stanowiska lekarskiego zapisano już foliały i podawano wiele środków zapobiegających jej, ale nieznanym jest dotąd środek właściwy, któryby tę chorobę gruntownie leczył. Nie jest naszym zamiarem w tym względzie coś nowego powiedzieć, chcemy tylko co do powstania i rozszerzenia się zarazy bydłowej, udzielić czytelnikom kilka uwag, które zwłaszcza teraz, gdy zaraza znowu wybuchła w kilku miejscowościach kraju naszego, nie będą pominięte.

Zaziębienie i nagłe ochłodzenie jest każdemu bydłociu bardzo szkodliwym; szczególnie gdy to dotknie jego wewnętrzne organa. W końcu zeszłego wieku istniało rozporządzenie rządowe, zakazujące gminom wyganiania bydła w czasie przymrozków w pole, dopóki szron nie zejdzie, a ponieważ powiedziano, że pasterz nie śmie trąbić na mróz, ztąd powstało czeskie przysłowie: „na mróz trąbił,“ czyli, że głupstwo zrobił.

Dowiedziona jest rzeczą, że przez nagłe zziębienie wnętrzości na pastwisku, powstaje zaraza płucna, zapalenie bowiem błon śluzowych sprządza ślinienie, a powiększone te wydzieliny różnoszą i szerzą zarazę; przy najmniejszym więc przeoczeniu tych symptomatów, całe stajnie padają ofiarą. Szczególniej też bydlę do wszystkich zaraz jest skłonne, są bowiem przykłady, iż nawet porzucanie cieląt stawało się w całej oborze pomiędzy krowami zaraźliwą chorobą. — Nie należy przeto nigdy poddawać bydłu tak karny jak napoju zimniejszego nad 12 stopni Reaumura, ani pozwalać wypędzac bydło na pastwiska zimne i wilgotne, gdyż zwierzęta domowe nie znoszą w ogóle zimna, a wpływa na to budowa ich organów, co pokazuje się ztąd, że zaparzona lub zagrzana karma lepszą jest dla nich od surowej i zimnej. Wiadomo przy tem jest, że każde zwierzę lepiej rośnie w lecie jak w zimie; najwięcej zaś chorób powstaje w czasie przejścia z wiosny na lato i w jesieni, co powinno być wyraźną wskazówką, jak bydło pielęgnować należy. Człowiek będący panem ziemi, ciągnie, ze wszystkiego korzyść, z czego tylko może, ale jak uwikłany będąc w stosunki społeczne, często błędzi, tak nierównie częściej jeszcze na niekorzyść swoją działa, mało zważając na przyrodzone względy i zależność od nich.

Wiele złego dzieje się na świecie, a źródła jego szukać należy w nieświadomości i niezwracaniu uwagi na przyrodzone warunki, gdyż właśnie od nich to zależy dobre powodzenie człowieka. Przyrodzone prawa wskazują, że zimno i brak światła pociąga za sobą wiele chorób a nawet i śmierć, gdy przeciwnie ciepło i światło daje życie, zasada więc ta powinna we wszystkich czynnościach ludzkich przeważać. To też i zwierzęta domowe, aby nie były narażone na choroby, powinny być ciepło i w dostatecznym świetle utrzymywane. (X.)

Odkrycia i wynalazki.

— **Nowa wyspa.** Wszystkie morza, oprócz podbiegunowych, już tylukrotnie są zbadane, że zdawałoby się niepodobniństwem, aby mogła ujść oka żeglarzy nie już wyspa jaka, lecz nawet skała z wody wystająca. A przecież tego czasu odkryto niezwykłą wyspę 20 mil angielskich długości na drodze z San Francisco w Kaliforniji do Japonji, około 100 mil morskich od przylądka Mendocino. Już zawiązało się w San Francisco towarzystwo, które zbiori okręt dla objęcia tej wyspy w posiadanie Stanów Zjednoczonych i rozpoznania jej. Wyspa ta zwykle w gęstej mgłę się ukrywa i to jest może powodem, że jej dotychczas nie dostrzeżono. Parowiec „Colorado“ odkrył ją.

— **Telegrafy elektryczne** są rzeczywiście dopiero zdobyczą ostatnich 25 lat; w roku 1847 przesyłano sobie jeszcze wiadomości za pomocą daleko widzialnych, wprzód umówionych znaków, a dziś już posiadamy aparat Casselego, który własnoręczne pismo piszącego w mgnieniu oka odtwarza na odległej stacji. Wystawa paryzka daje nam najzupełniejszy obraz postępu tej nauki i jej zastosowania. Obok aparatu Casselego są podobne dalekopisy Hugnes, de Werret, Thomson i de Hordy. W angielskim oddziale celują druty telegraficzne kompanji indyjskiej. Austria wystawiła bardzo praktyczny aparat systemu Morsego z klawiszami.

— **Użytek popiołu w gospodarstwie.** W gospodarstwie najmniejsza rzecz nawet przydać się może, szczególnie popiół, który produkuje każda chata. Popioły rozsiewać należy na gruntach wszelkiego rodzaju, przydatne one są szczególnie do wydania obłitego zbioru paszy rozmaitych. — Rozsiewają się popioły na gruntach, kiedy posiane nasiona wschodzą poczynają (w jesieni i na wiosnę), na łąkach zaś na wiosnę, kiedy trawy zaczynają z ziemi się wydobywać. Popiół sieje się z ręki podobnie jak zboże, a czas wilgotny jest najodpowiedniejszy do tej roboty.

— **Czernidło na skórę do upręży i na powozy.** Bierze się węgla z kości w drobnym proszku 1 łót, wosku żółtego 4 łoty, błękitu berlińskiego pół łota i oleju terpentynowego pół funta. Mając to wszystko, topi się wosk w oleju, mieszając go od czasu do czasu, poczem dodają na zimno pomienione proszki z kości i z błękitu. Czernidło to nakłada się na skórę za pomocą szczotki, a drugą wydobywa blask pożądany.

— **Proszek do czyszczenia srebra.** Bierze się kremortartarum i kredy po dwie uncje i alunu jedną uncję, i trze się wszystko na proszek, poczem skrapia się ta mieszanina mocnym octem, suszy i znowu po dwa razy skrapia. Następnie rozciera się mieszanina na mialki proszek i zachowuje w słoiku szklanym. — Gdy wypadnie potrzeba czyścić srebra, bierze się troszkę tego proszku, rozprowadza wodą i za pomocą miękkiego płótna lub szczoteczki, pociera się srebro do czyszczenia przeznaczone, na ostatku obmywa wodą i ociera na sucho.

— **Kauczuk jako środek na ból zębów.** Topi się kawałek kauczuku (Gumielasticum) nad płomieniem świecy i ciepły jeszcze wkłada się w ząb wypróchniały, wyczyściwszy go pierwej należycie. Kauczuk rozmiękczony i ciągnący się zupełnie, zapełniwszy otwór w zębie, nie dopuszcza powietrza do nerwów odsłoniętych i usuwa tym sposobem przyczynę bólu zębów.

Syntetyczna kroniczka tygodniowa

Poniedziałek.

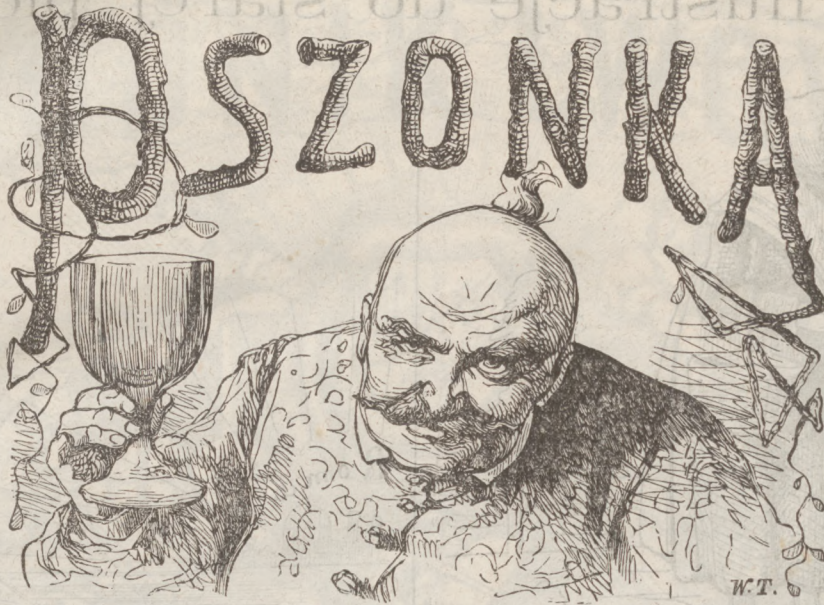
A, a, b, c, é, d, e,
O Carofilach nie mów źle;
Nie każda koza beczy: Me!

Wtorek.

F, g, h, i, k, l, m,
Niezawsze wdzięczność brzmie-
niem czczem
Asinalunga, — hem, hem, hem!..

Środa.

N, o, p, r, s, t, u,
Marszałków mamy blisko stu
Luli Galilejo, — smacznego snu!



dla użytku starszych ele-
mentarzystów.

Czwartek.

W, x, y, z, ź, ż.
Moskiewski kark, turecki grzbiet,
Któż zgadnie liszka czy też cet?

Piątek.

B-a, ba; b-e, be,
Gdzie cienko tam się zwykle
rwie,
Kuranda Lachów kupić chce!..

Sobota.

B-i, bi, b-o, bo,
Nadzieje ludzkie są jako szkło;
O Florku mów, czy prawda to?

Pszonka.

Pogadanki tygodniowe.

Gdyby mi kiedy jeszcze znowu przyszło na ten świat się rodzić, a los pozwolił mi wybierać w jakiej postaci żyć, sobie odbywać tę nudno-smutną pielgrzymkę żywota, natenczas odpowiedziałbym mu: Panie losie Dobrodzieju, rób ze mną co ci się podoba, tylko — jeśli łaska — spraw Acan, abym nie był nigdy zmuszonym pisać lwowską kronikę tygodniową.

Bo o czymże tu pisać na tym lwowskim bruku, ślizkim i błotnym w tej chwili, — o czym tutaj pisać w tym mieście, w którym tak słabo biją tętna życia politycznego, umysłowego, artystycznego, a nawet i towarzyskiego?... Najwierniejszym sprawozdaniem byłaby niezawodnie biała kartka...

A jednak, a jednak, zdawałoby się, że w mieście naszym powinnyby grać te wszystkie tętna głośniejsze, teraz, kiedy wypadki polityczne narzuciły mu rolę stolicy, kiedy cała Polska zwraca na nie oczy swe jak na Akropol lub Jeruzalem...!

Stolica nasza ma coś pokrewnego z temi miastami moskiewskimi, którym po ukazie wypadło stać się gubernialnym lub stołecznym grodem. Jestto parwenjusz, na którego przez sen spadł wielki majątek, a który pieści się tą myślą iż został bogatym, i pyszni się skarbami swemi, a użyć ich nie umie.

Toteż spanoszona nasza miescina zachowała dotąd swoje małomiejskie gusta, obojętna na wszystko to co w wielkich miastach zwykło budzić zajęcie.

Koncerta Patti, rewolucja w Rzymie, uwięzienie Garybaldego, mowa Ziemiałkowskiego, wszystko to przeszło tutaj, nie zrobiwszy na naszej publiczności żywszego wrażenia, a jedyna kwestja, która obecnie zatrudnia ludność naszej stolicy, a przynajmniej tę, która co zimy przybywa ruchliwym i gwarne życiem swoim ożywiać mury naszego grodu, jestto kwestja braku pomieszkania.

Mimo grypy i katarów, które jako awangarda jesieni zawitały już do naszego miasta, nikt się dziś nikogo o zdrowie nie pyta. Przywitanie „jak się masz“ zastępuje obecnie zapytanie, „czy znalazłeś pomieszkanie?“ i niedziw, kataru i grypy łatwiej się pozbyć dzisiaj, aniżeli znaleźć jaką taką stancyjkę.

Przyczyną tego braku pomieszkań jest nadzwyczajny napływ urzędniczych rodzin, które zostały tutaj przeniesionymi po części z Wiednia a po części z Krakowa; jestto więc pierwszy widzialny owoc autonomji, a zatem nie sarkajmy. Powiecie, że to odwrotna strona medalu, że prawej jeszcze niewidać... Cierpliwości, będzie i prawa...! *Tout vient a temps a celui qui sait attendre...!*

Idzie autonomia idzie, powoli powolutku, ale zawsze idzie, i daj Boże aby nas zastała przygotowanymi!..

Siedemdziesiąt dwa rad powiatowych, siedemdziesięciu dwóch J. W. marszałków i siedemdziesiąt dwa razy pięciu W. wydziałowych — pomyślcie państwo czy to trochę nie za nadto na naszą biedną Galileję.

A bah...! a od czegoż nasz znany uniwersalizm polski...? Ten nas wybawi z kłopotu. *Polonus sum, Poloni nihil a me alienum esse puto!*

Opowiadał mi temi dniami ktoś dowcipny, że w każdym powiecie ma się znajdować po jednym takim uniwersaliście, co to Mociumpanie i do taica i do rożanica, niema więc pod tym względem obawy, — ludzi nie zabraknie...!

Powiat złoczowski potrzebuje w tej chwili marszałka — jest marszałek, posła — jest poseł, generała — będzie generał, biskupa — i biskup się znajdzie Mocium Panie...! Od czegoż byłby polski rezon i fantazja?

Ale nietylko rezon i fantazja odgrywiają obecnie przy wyborach do rad powiatowych swoją rolę, niestety odzywają się tam nieraz rozmaite ambi-cyjki, i różne prywaty.

Gdyby nam tak „Chochlikiem“ lub kulawym djabelem wkraść się tam w te przedwyborcze zgromadzenia, — gdyby nam podслуchać te rozmaite dziwoleżne projekta i projekciki, te zaściankowe zapatrywania, te przed-potopowe poglądy, gdyby nam tak schwycić *in flagranti*, który z tych planów n. p. plan kolosalnej sieci kolei żelaznych od sąsiada do sąsiada z fokshałem na każdym folwarku, — gdyby nam pochwylić te pocziwe życzenia — ach tylko życzenia, i te patriotyczne mówki wygłaszane nieraz *inter pocula* z nieudanym zapalem, — ileżby na tem zyskały nasze pogadanki, jakież by to pole było dla naszego rysownika, ileżby tam ciekawych można poz-bierać typów...?

Cały ten ruch autonomiczny przyczyni się niezawodnie wielce do oży-wienia życia towarzyskiego na prowincji.

Niedorośliśmy jeszcze Niemców w rachunkowości; — gościnność polska żyje jeszcze, a jeżeli w pewnym powiecie kandydujący o marszałkowstwo podniósł kwestję rocznej pensji dla marszałka na koszta możliwych trak-tamentów — jeżeli w innym znowu, stawiany kandydat uchylił się od przy-jęcia poruczonego mu obowiązku, w obawie, aby dom jego nie najeżdżano, to niezawodnie obydwaj te fakta będą wyjątkowymi wypadkami.

Domy J. W. marszałków staną się zatem ogniskami życia towarzy-skiego naszej szlachty, a jeżeli nasi *principes nobilitatis* zdołają pochwylić ster w kołach obywatelskich, jeżeli zechcą przodować obywatelstwu w kierunku umysłowym i narodowym, jeżeli zdołają w nich rozbudzić zami-łowanie do swojskich obyczajów, języka, literatury, to zaiste będzie to dla nich wielką zasługą w wobec narodu, chociażby nawet działalność ich w innym kierunku nie przyniosła krajowi znacznych korzyści.

Ale niestety przedmiot ten musimy pozostawić innym; nam trzeba wrócić do miasta, a więc wstąpmy na chwilę do ratuszowej sali, gdzie właśnie wystawia p. Sidorowicz swoje obrazy.

Młody ten artysta wyszły niedawno ze szkoły malarskiej w Wiedniu, rokuje bardzo piękne nadzieje. Pomiedzy pracami jego odznaczają się szcze-gólniej studja z natury, wykonane po części kredą, pocześci olejnymi farbami. Miedzy temi ostatnimi odznacza się szczególnie głowa młodej kobiety (podobność Nr. 11), która tak pod względem rysunku jak i kolo-rytu mało zozostawia do życzenia.

Prócz studjów z natury wystawił pan Sidorowicz także kilka portretów olejnych, wielką kopją obrazu Rubensa, oraz dwie małe kompozycyjki: Chrystus spiący na łodzi podczas burzy na galilejskim morzu, i Żorawie Ibikusa.

We wszystkich pracach tego młodego artysty znamionuje się nie-pośledni talent, radzilibyśmy mu jednakże, aby niezanieczył studjów z natury, tembardziej, że w niektórych numerach, a mianowicie w Nr. 2. (Portret kobiety w naturalnej wielkości) zdawał się nam rysunek mniej po-prawnym, a w draperjach nawet nieco zaniedbanym.

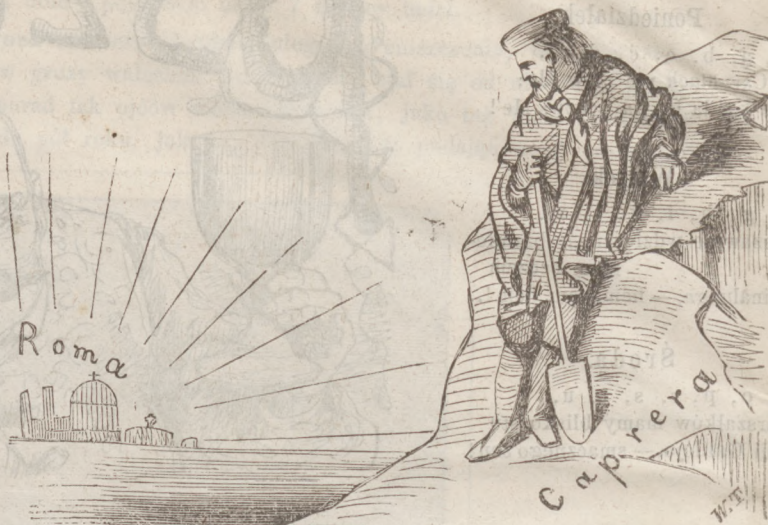
Natura jest najlepszą mistrzynią, a dokładna jej znajomość jedynie na-daje tę prawdę i siłę w rysunku, tak niezbędną malarzowi.

W. Z.

Nowe ilustracje do starej piosenki.



1) Była babuleńka z rodu bogatego,



2) Miała kozuleńka bardzo poczciwego,



3) A ten kozuleńko był bardzo rozpustny,



4) Wyjadał babuni ogródek kapusty.

WYJĄTKI

z katechizmu prawno-politycznego, mającego się ukazać niebawem w wydawnictwie dzieł tanich i pożytecznych.

Pyt. Co to jest wolność?

Odp. Jest to rodzaj wiktuału duchowego, bez którego się żaden człowiek obejść nie może, a który — zmonopolizowany przez rządy — stanowi głównie źródło dochodów skarbowych.

Pyt. Co to są sejmy?

Odp. Są to *trafik*, w których można nabyć tego towaru po *cenach fabrycznych*.

Pyt. Co to są przedłożenia rządowe?

Odp. Są to *fabryki*, w których się *surowa wolność przerabia do codziennego użytku*.

Pyt. Co to jest prawo?

Odp. Jest to komora, w której nieopłacona wolność ulega kontrabandzie.

Pyt. Co to są przestępcy polityczni?

Odp. Są to ludzie, trudniący się przemycaniem nieopłaconej wolności po za obrębem monopolu.

Pyt. Co to jest prokurator?

Odp. Jest to akcyznik, trudniący się rewidowaniem przejeżdżających przez komorę i ściganiem przemytników.

Listy z tamtego świata.

An
Sein. Wohlgeboren Herrn Kuranda
Reichsraths- Abgeordneten
in Wien.

Dowiedziawszy się, iż Waszmość Dobrodziej okazał intencję kupienia Polaków, i w tej mierze rozpoczynając rokowania z przewodniczącym polskiego klubu w Wiedniu, otrzymał od niego odpowiedź, iż Polacy nie sprzedadzą się za żadną ceną, w skutek czego dalsze pertraktacje zerwane zostały, oświadczam Waszmości Panu niniejszem, iż o ile wyrozumiałem rodaków moich, mylił się w tej mierze W. Ziemiakowski.

Polacy — o ile wiem — postanowili sprzedać swój aljans i to nawet za bardzo niską cenę, reflektując szczególnie na oplakany stan austriackich finansów. Można ich Panie Dobrodzieju kupić za cenę jednej korony... rozumie się polskiej. Oczekując rozkazów P. Dobr., mam zaszczyt pisać się W. Pana najniższym sługą **Pszonka**.
Pola elizejskie d. 12. Października 1867.

Szanownych czytelników **PRZYJACIELA DOMOWEGO** zawiadamiam, że w miejsce tego, odbierać będą przez przeciąg bieżącego kwartatu „Tygodnik lwowski” za dopłatą **50 centów** na pokrycie kosztów ozdobniejszego wydawnictwa. Nadto otrzymają *dokończenie* powieści: „Zardzewiały ęwiek” w osobnym dodatku.

SPIS PRZEDMIOTÓW:

Agenor hr. Gołuchowski. — Urywek z czyjegós pamiętnika przez T. T. J(e)za. — Rynek krakowski. — Z wystawy paryskiej. — Historia powstania polskiego przez Agatona Gillera. — Gospodarstwo, przemysł i wynalazki. — Pogadanki tygodniowe i humoreski z karykaturami. —